

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPOŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

Z etyki dziennikarskiej.

Fakt jest taki: Redaktor pisma polskiego, uchodzącego za poważne, podpisuje nazwisko człowieka znanego i szanowanego powszechnie, bez jego wiedzy i zezwolenia — podpisuje je pod odezwą, której ów podpisany ani pisał, ani przesyłał. Pokrzywdzony w ten sposób, występuje z protestem najpierw do owego samowolnego redaktora, który jednak nie wiele sobie z tego robi — obiecując jedynie dać „wyjaśnienie“ w „odpowiedziach redakcyi“. Pokrzywdzony, nie chcąc i nie mogąc naturalnie, na takim zadośćuczynieniu poprzestać, występuje już z protestem publicznie w dwóch dziennikach większych, oświadczając wyraźnie że nadużyto jego podpisu i że mu idzie nietylko o samo nadużycie, ale i o godność prasy, która przy takim postępowaniu ludzi stojących na jej czele, może wiele stracić. Wystąpienie to nie pozostaje bez skutku. Kilka pism w imię obowiązku publicystycznego, występuje z ostrą ale zupełnie zasłużoną naganą, dla postępu owego pana redaktora, który w odpowiedzi znowu chwytą się taktyki, godnej podziwu ze względu na jej... śmiałość. Zamiast przeprosić pokrzywdzonego, przyznać się do winy i wyrazić żal — redaktor ów z niesłychaną arogancją obraża człowieka, którego nazwisko bez upoważnienia podpisał, a pisma które nadużycie to potępiły, lży nazwą „prasy rewolwerowej“.

Fakt jednak pozostał faktem — i wywołał w szerokich kołach publiczności oburzenie takie, że redaktor widząc co się dla jego przedsięwzięcia święci, przybywa umyślnie z nad Newy do Warszawy i tutaj wyjednywa sobie — „rehabilitację“.

Jaką i w jaki sposób? — to właśnie najciekawsze. Jedną z gazet, która najpierw — bez komentarzy — pomieszczyła protest pokrzywdzonego właściciela nazwiska, a za nią trzy inne, po przedstawieniu im „w drodze prywatnej“ jakowychś „objaśnień i dowodów“, oświadczają, iż redaktor ów, drukując odezwę nieistniejącą faktycznie i podpisując pod nią cudze nazwisko, „działał z pobudek poważnych, w dobrej wierze i z dobrą intencją“. Redaktor zaś korzystający samowolnie z cudzych podpisów, zapewnia uroczysie, że „zadośćuczynienie to, ze względu na poważne (?) źródło z którego płynie, jest dlań najzupełniej wystarczającym“.

Taki jest, powtarzamy, sam fakt. Nie wymieniamy ani pism ani nazwisk, bo najpierw, historia ta jest dokładnie znaną, a powtórnie nie idzie nam w tej chwili ani o dane pisma, ani o osoby, ale o zainterpelowanie etyki dziennikarskiej takim — prostym pytaniem:

Czy redaktor pisma, podpisujący samowolnie cudze nazwisko, może być przez swych kolegów osłanianym — ba nawet rehabilitowanym, czy też przeciwnie, czyn jego taki powinien być przez prasę, bez względu na jej obozy i kierunki, jednozgodnie zganionym i napiętnowanym?

— Obwiniony — powiadają nam — działał z pobudek poważnych, w dobrej wierze i z dobrą intencją; okoliczności te więc mogą go niewinnic.

Dziwnie to słabe i elastyczne okoliczności, wobec wymowy samego faktu. Bo najpierw, jeżeli owe „pobudki“ były istotnie tak „poważne“, że aż zmusiły redaktora do popełnienia niepraktykowanego dotychczas w prasie nadużycia, to dla czego pobudek tych nie zakomunikował on, także choćby „w drodze prywatnej“, całej prasie, ale tylko pewnym pismom, przez się wybranym? Dlatego, że odwoływanie się do „pobudek prywatnych“ nie może być poparte żadnymi dowodami — czyli że poprostu jest to tylko wykręt. W wiadomej odezwie była mowa o wydaniu pewnej książki zbiorowej, na co żadnego pozwolenia brać nie potrzeba, a narada nad wydaniem tej książki — narada, w której brały udział aż (!) trzy osoby, nie mogła w niczem narażać jej uczestników.

— Ale — zapewniają jeszcze — redakcyja, zmieniając formę odezwy i podpisując pod nią cudze nazwisko, działała z dobrą wiarą i z dobrą intencją.

Dziękuję uniżenie za taką dobrą wiarę i najlepszą chociażby intencję! Z dobrą wiarą i z dobrą intencją mogą działać ci (choć takich jest niewielu) którzy chcieliby rozwiązać i załatwić sprawę żydowską przy pomocy tak zwanej „assymilacji“, — i dobrą wolę mają również ci, którzy z zasady upowszechnianiu tej mrzonki są przeciwni, którzy widzą w tem środek prowadzący do zżyczenia raczej, do obdarcia społeczeństwa przez plemię Izraela z wszystkich jego dóbr moralnych i materialnych. Do tych ostatnich — to jest do tych zasadniczych przeciwników obalamucania ogółu mrzonką assymilacji — należy, jak wiadomo, nasz organ. To jest przekonanie jego redakcyi, przy tem przekonaniu, od początku swego istnienia, stoi i tego przekonania broni. Tymczasem, ni ztąd ni zowąd, ukazuje się, dajmy na to w „Kraju“, odezwa z oświadczeniem, że tylko assymilacja z żydami może przynieść szczęście i wszelakie pomysły społeczności polskiemu — a pod odezwą taką podpis redaktora „Roli“! — Podpisany, rzecz prosta, protestuje, przeciw takiej... improwizacji a redaktor „Kraju“ drwi z jego pretensyj. Podpisany odwołuje się do sumienia i sądu prasy, a prasa odpowiada mu: nic to, panie łaskawy; redaktor „Kraju“ jest zwolennikiem assymilacji, wierzy w jej pożytek dla społeczeństwa, więc działał „w dobrej wierze i z dobrą intencją“!

I do czego by doszło, gdybyśmy się tak zaczęli w swoich

pismach podpisywać wzajemnie? Czy pisma rehabilitujące postępek owego samowolnego redaktora pomysłaly nad znaczeniem prejudykatu, jaki tą rehabilitacją udzieliły ludziom złej woli, których nigdzie nie brak? Czy kierownicy organów, którym ów redaktor, „w drodze prywatnej“, udzielał swych „objaśnień“ sekretnych, nie wiedzą lub też nie chcą wiedzieć, że podpis cudzy jest własnością świętą i nietykalną, której nadużywać nie wolno, a nie wolno zwłaszcza czynić tego ludziom stojącym na stanowiskach publicznych? Zaiste, dziwną jest ta nasza etyka dziennikarska! Gdy pismo broni ostro, stanowczo, nawet zresztą namiętnie swych przekonań, gdy nie chce żyć małoduszny oportunistem i dogadzać wszystkim, „poważna prasa“ nazywa to warcholstwem osłabiającem powagę dziennikarstwa. Ale gdy ktoś z przedstawicieli tego ostatniego, nie upoważniony, podpisuje publicznie cudze nazwisko i gdy, zamiast uczciwym przeproszeniem osłabić swoją winę, posługuje się w dodatku kręctwem, wówczas ciż sami stróże i obrońcy „powagi prasy“ rozgrzeszają czyn taki frazesami o „poważnych pobudkach“ i o „dobrej wierze“!

Co o takiej etyce może myśleć publiczność? — co o takim krzyczącym pogwałceniu opinii publicznej powiedzieć może ogół — ten ogół, dla którego prasa ma być poniekąd moralną wychowawczynią i przewodniczką? Doprawdy, sąd ogółu, dla nas przynajmniej, jest aż nadto widocznym. Ogół sobie, a prasa sobie, oto konsekwencja tego oportunistu, posuwanego, jak widzimy, aż do tolerowania i rozgrzeszania czynów przewidzianych wyraźnie kodeksem karnym. Prasa traci coraz widoczniej swój wpływ, a takie „rehabilitacje“ nadużyć mogą go osłabić do reszty. Czy mamy wobec tego milczeć i nie bronić owych resztek przynajmniej? Nie; — milczenie byłoby tu równie brzydkim tchórzostwem, jak protest przeciwko takiej przewrotnej etyce dziennikarskiej — etyce przystrajającej czyny złe i karygodne w świadectwa „dobrej wiary“ i „dobrych intencji“, jest prostym obowiązkiem. Obowiązek ten spełniamy właśnie — w przekonaniu, że ani owe przedziwne manipulacje z podpisami, ani, uwłaczająca godności drukowanego słowa, obrona tych manipulacji — nie powtórzą się więcej. Byłoby to rzeczą nad wyraz smutną, byłoby to pogrzebaniem i onych resztek wpływu tej naszej prasy, gdybyśmy się mylili.

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Chońskiego.

(Dalszy ciąg.)

Pan Milski rzucił okiem w szkło zwierciadła, poprawił małą, pulchną ręką, gęstą, bujną, starannie uczesaną czuprynę, musnął wąsiki, obejrzał się w około, dmuchnął przed siebie i zbliżył się do stolika.

Była w każdym jego ruchu taka pewność, a w uśmiechu taka świadomość jego siły, że się pani Sędzicka mimo swych lat pięćdziesięciu zarumieniła.

— Dziękuję panu, dziękuję serdecznie — mówiła. — Umiem cenić łaskawość pięknego naszej prasy.

„Piękny“ uklonił się lekko i opuścił swój gruby tułów ostrożnie na fotel.

Pan Milski był rzeczywiście „ładnym chłopcem“. Wprawdzie nie dopisał mu wzrost, ale za to odznaczała się twarz jego regularnością rysów. Średnie, nieco wypukłe czoło sklepiło się nad parą dużych, niebieskich oczu, które patrzyły na świat w połowie sentymentalnie, jakby przez łyż, w połowie dowcipnie. Trochę grube, zmysłowe usta,

SZŁOMA Z ROZDOŁÓW.

Przez

Wincentego hr. Łosia.

(Dokończenie).

Żyd obejrzał się po izbie, zajrzał do kuchni, gdzie już służąca i dzieci spały, spojrzął na żonę znacząco i drzwi przymknął. Wyszedł do sieni, przystanął chwilę, jakby podsłuchiwał, poczem powrócił do izby.

— Toć to akurat tak samo — począł z cicha — jak dwa lata temu było w Morlasie — nie wietą?

Kacper potrząsnął głową przecząco.

— Nastał nowy dziedzie i zaczął od różnych nowości.. Dalejże ludzi wyganiać, krzywdzić, tak jak was, Kacper.. aż go spalili.. Spalili ze szczętem i wszystkich musiał nazad poprzyjmować, bo nie było nowych.. i nie było kim robić.. Herste?...

Kacper głową tylko kiwał.

— O! i ja mojej krzywdy nie daruję — zawołał.

— A cóż wy zrobita, durny? — zapytał — pójdzietą z torbami i kwita...

Chłop spojrzął złowrogo, a oczy błyszczały mu już od wódki; — jakaś nagła zmiana odbiła się w jego fizyognomii, którą żyd śledził bacznie.

— A czy myslita — ciągnął dalej żyd — że i tutaj się nie znajdzie taki?... I nie byłoby dziwoty... Nie można ludźmi poniewierać... człowiek człowiekiem, czy chłop, czy żyd... Wypędzić ludzi z dnia na dzień, tak jak was, na ten przykład, to mi *recht!*...

Kacper słuchał, wzdając po izbie oczami błędniemi; zdawało się, że chwycił każde słowo żyda, który to widział dobrze i ciągnął dalej:

— Co to dziś z ludźmi zadzierać! To nie dawne czasy, nie pańszczyzna, kiedy można było chłopca zabić i kwita... Co to dziś chłopu?... jeno żyć i jeść... pola mają do syta... aj, aj!...

Szłoma nie skończył, bo Kacper się podniósł i stanął na środku izby.

— O! nie daruję mojej krzywdy! — zawołał.

— Cicho! — syknął i zerwał się żyd — cicho bądźta, durny! Możecie robić, ale nie gadać... Co to gadać? co to krzyczeć!... Róbta... a nie drzyjta się, Kacprze...

— O! nie daruję!... — powtarzał Kacper ciszej, lecz coraz zawzięciej. — Nie daruję!...

— Co macie darować?... a po co?... a komu?... Za waszą krzywdę!... za waszą pracę!...

— Ale... — przerwał Kacper — mnie wyganiać?... mnie?... Tu każdy kamyczek zlany moim potem... tu każda ścieżka wydeptana moimi nogami... tu każda grudka ziemi przeze mnie poruszona... tu...

rozchylone pod zgrabnym nosem, domagały się pocałunków. Rumieńce zdrowia krasily to przyjemne oblicze, pełne miękkości niewieściej i zadowolenia.

Milski miał na sobie suknię najświeższej mody, nieco za ciasny w talii, która rozpierała objętością swoją szywy, łączące biust tużurka z połami.

Właśnie przechylił się do pani Sędzickiej i chciał rozpocząć gawędkę, gdy się dzwonek po raz czwarty odezwał. Odtąd rozlegał się jego przenikliwy głos bezustannie, przez cały kwadrans, coraz to innych zwiastując gości.

Salon napełniał się szybko. Panowie i panie wchodzili, witali się, wymieniali z gospodynią zwykle uprzejmości i rozbiegali się po pokoju, szukając sobie miejsc wygodnych.

Wzdłuż obu ścian, pod obrazami, wśród klombów kwiatów, znajdowały się liczne kozetki, w rogach zapraszały do wypoczynku kanapki, otoczone fotelikami.

Towarzystwo podzieliło się na kilka grup. Panie tworzyły ogniska, około których gromadzili się bliżsi znajomi.

W środku została pani Sędzicka z Kostromskim, Rolskim i Milskim.

— Czy który z panów przerzucił ostatni numer „Gwiazdy“ — zapytała gospodyni. — Panowie zachowawcy nie lubią tego brudnego świstka, jak nazywacie mojego ulubieńca.

Znów rozbrzmiał naiwny śmiech pani Sędzickiej, któ-

Nie dokończył, bo jakaś dzika wściekłość zbudziła się w nim nagle; począł się pienić i pięścią w stół uderzać.

Szloma przytrzymał go za rękaw, przestraszony.

— Ciszzej, Kacprze... ciszej... — szeptał — róbcie, a nie gadajcie... durnyl...

Chłop się uciszył. Nagle podsunął się do stołu, szukając drżącą ręką butelki, której już nie było.

— No, dajcie jeszcze wódki.

— Macie dość — odparł żyd — ja was znam... macie w sam raz... Ani kropli mniej, ani więcej... Nie dam... macie w s a m o p r a w i e . . .

— Jeszcze kieliszek... — prosił Kacper.

— Miejcie rozum, gumienny... macie w samo prawie... jeżeli chcecie co robić... już ja wam to mówię...

Kacper był dobrze podchmielony i miał już istotnie w samo prawie, jak mówił Szloma. Chodził po izbie, z głową opuszczoną na piersi, z oczami wlepionymi w podłogę i z rękami w kieszeniach od sukmany.

Ryfka uchyliła drzwi od kuchni i spojrzała na Kacpra z uśmiechem.

— *Ha! genug...* — szepnęła do męża i znikła.

Szloma, rozgorączkowany, chodził też, lecz nie po całej izbie, tylko w okolicy pieca w obrębie kilku łokci kwadratowych. Widocznie nie chciał przeszkadzać Kacprowi. Chałat mu się rozpiął, odkrywając kamizelkę, z pod której wyglądały białe tasiemki. Spojrzał na Kacpra, uśmiechnął się i zaczął:

— Pomyślcie jeno, gumienny... Gdyby tak teraz wyprawili kto w Rozdołach figiel... wiecie... jak dwa roki temu w Morlasie... He?... Stodoły pełne... a wszystko suche... jeno przytknąć zapalną... ot tak... Buchnęłoby, jak w piecu...

Kacper przystanął i słuchał. Różne myśli płątały mu się po rozpalonej gorzałką głowie.

— A krowy parobskie? — odezwał się po chwili milczenia.

— Krowy parobskie?... Ha, ha, ha... — rozśmiał się żyd. Toż obora czeladnia o pół mili od stodoły!...

Kacper skinął głową i począł znów chodzić.

Szloma przypatrywał mu się w dziwny sposób. Śledził każde drgnięcie muskułu na twarzy, badał gest każdy, mierzył go wzrokiem od stóp do głowy, a oblicze jego powlekało się wyrazem wzrastającego stopniowo zadowolenia...

Kontent był ze skutku jaki wywarły na chłopie zarówno jego słowa jak i wódka którą go uraczył. Aby więc uwieńczyć tak pomyślnie rozpoczęte dzieło, podszedł do stołu, schylił się i wyjąwszy ukrytą pod nim butelkę, rzekł:

— No, Kacper, napijta się jeszcze jeden i idźta spać... Rozumiecie mnie?... idźta... spać... Mądrej głowie dość na słowie... Więcej wam gadać nie potrzeba... prawda?...

Kacper, nie odpowiadając na zapytanie, podniósł do ust kieliszek, Szloma tymczasem uchylił zasłony i wyjrzał przez okno.

— We dworze już śpią... I na folwarku ciemno... Teraz

żywa dusza was nie zobaczy... — mówił głosem tak cichym, że Kacper ledwie go mógł dosłyszeć. — No, idźta, bo i mnie czas spać.

Chłop spojrzął na żyda i oczy ich spotkały się w dziwnej, niemej wymianie myśli.

Żyd się uśmiechnął znacząco; chłop opuścił głowę.

— No! idźta już... — nalegał Szloma — idźta i nie bądźta głupi...

Kacper postąpił ku drzwiom, które mu Szloma otworzył.

— A nie potrzeba wam zapalek? — zapytał nagle. — Mam nowe, bardzo dobre... każda się zapala... Przywiozłem je dzisiaj z miasta.

— A, dajcie.

Żyd pobiegł do kuchni i, wróciwszy natychmiast, wetknął Kacprowi w rękę pudełko zapalek, które ten schował do kieszeni.

— A jaki ząb koński wyrósł za stodołą!... — mówił jeszcze Szloma do Kacpra przeprowadzając go przez ciemną sień, ku wyjściu. — Człowiek z koniem mógłby się w nim schować... Śliczności ząbl...

Kacper milczący jak grób, wyszedł.

Szloma zgasił zaraz światło w izbie, polecivszy zaspasanej Ryfke uczynić to samo w kuchni. Przeszedł się kilka razy, wśród ciemności, po stancyi, poczem wysunął się na dwór cichutko.

Przystanął, oddech zapał w piersi i słuchał.

Zdala dochodził głuchy odgłos kroków oddalającego się Kacpra.

Szloma wciąż słuchał, wreszcie szepnął:

— Będzie coś nowego... — i powrócił do izby, zamknąwszy drzwi za sobą.

— Ten Kacper to zażarty — odezwał się do żony — gdy mu gorzałka w głowie zaszumił... A tak, po trzeźwemu, to do niczego chłop.

Ryfka w odpowiedzi ziewnęła głośno i przeciągle.

— Będiesz ty ziewać — zaśmiał się Szloma. — Daj sobie pokój z ziewaniem, bo nie będziemy spać tej nocy... Tak mi się coś widzi.

Powiedziawszy to spokojnie i zwykłym swym głosem, usiadł przy piecu.

Długo wpatrywał się w okno i w czarną przestrzeń, w której migotały gwiazdy. Wreszcie zmogła go senność i usnął. Spał snem smacznym i twardym, bo chrapał, poruszając się na swem niewygodnym legowisku.

Nagle obudziły go jakieś wrzaski, dochodzące od stromy dworu.

Otworzył oczy. W izbie było jasno, od jasności która panowała na dworze. Krzyki jakieś dochodziły go zdala.

Zerwał się i przestraszył.

W ciemnej izbie migotało się, jakby od blizkiego pożaru.

Zadrzał.

zaczne; naszą zaś zasadą powinno być godzenie stanów a nie drażnienie.

— Więc panowie czytali „Gwiazdę“ — zawołała pani Sędzicka, śmiejąc się wesoło. — A co, czy nie mam racji? Zawsze mówiłam, że wszyscy wypierają się znajomości z tą niecotą, a mimo to nie pomija jej nikt. Kasa ona zanadto, co nieulega wątpliwości, lecz któż nie lubi ploteczek? Co do mnie, przyznaję się otwarcie do tej słabostki.

Schwyceni na gorącym uczynku, zaczęli się po sali rozglądać. Milski z góry, z gestem tryumfatora, który potrzebuje tylko spojrzeć, aby zwyciężył, Rolski z pod czoła, bojaźliwie, skromnie.

— Ton gwałtowny, namiętny nie szkodzi nigdy w młodości — mówił Kostromski dalej. — Znamię to siły, którą lata uśmierzą i uspokoją. Czy pani nie zna przypadkiem tego pana Orlikowskiego?

— Rzucił mi dziś swoją kartę, a wieczorem miał przybyć z panem Chłodzińskim — odpowiedziała pani Sędzicka. — O, o wilku... dodała podnosząc się.

Przed nią stał Chłodziński, trzymający pod ramię Bolesława, który wszedł do salonu nieśmiały. Poraz pierwszy to przecież w życiu miał znaleźć się wśród grona ludzi rozgłośnego imienia.

— Pan Bolesław Orlikowski — przedstawiał Chłodziński.

ra zaliczała się mimo swego pochodzenia arystokratycznego do postępowców.

Pan Rolski ściągnął ramiona i skrzywił się.

— Nie mam czasu do czytania tych elukubracy — wyrzekł.

Pan Milski uśmiechnął się pogardliwie. Jedyny Kostromski nie wyraził ani ruchem, ani słowem swego lekceważenia.

Owszem, przeglądałem „Gwiazdę“ — odezwał się, cedząc sylabę po sylabie. — Czytam ją zawsze, bo choć nie godzę się na jej poglądy, na jej robotę burzącą wszystko, co było, a nie stawiającą nic nowego, na jej metodę napadania osobiście na przeciwników, dowiaduję się z niej niejednej rzeczy, którą warto wiedzieć. W ostatnim naprzykład numerze podpadła mi recenzja komedii Otockiego, napisana przez jakiegoś Orlikowskiego. Jeżeli mnie moje długoletnie doświadczenie krytyczne nie myli, to wyrośnie kiedyś z tego nowicyusza dzielny szermierz pióra. Posiada on niezwykle ognisty temperament i tę siłę argumentacji, która czytelnika przekonywa.

— Zapewne — wyrzekł Milski — lecz ten pan Orlikowski nie ma wyobrażenia o prawidłowej recenzji.

— Jego ton gwałtowny, namiętny, wcale mi się nie podoba — dodał Rolski. — Kto widział napadać tak bezwzględnie na całą burżuazję. Są i w tej sferze jednostki

— *Gewalt!* — zawołał i urwał.

Rękami pociągnął po czole.

— A, Kacper... bestya... — wyszeptał.

Pobiegł do okna; tam światło biło od ogromnej, niedalekiej łuny.

Uśmiechnął się szydersko.

— Ryfke! Ryfke! — zaczął wołać. — Rozdoly się palaj Ryfke! folwark się pali! Ryfke!

Nie czekając odpowiedzi, pobiegł ku drzwiom od karczmy, która dawała widok na zabudowania dworskie.

Lekko otworzył rygle i stanął w progu.

Ogień ogarnął już dwanaście obszernych budowli. Słomiane dachy zapalały się i stawały w płomieniach w jednej prawie minucie. Straszny zamęt panował już wpośrodku ognia. Szłomę dochodziły krzyki rozpacz i przestachu, ryk bydła, rżenie koni i beczenie owiec. On się z uśmiechem przyglądał, oglądając się tylko dokoła, czy go kto nie widzi.

— Będzie fabryka... — wyszeptał sam do siebie — lepsza niż pacht...

Wtem usłyszał krzyki i kroki szybkie na drodze. To ludzie biegli ze wsi na pomoc.

Wyraz twarzy Szłomy zmienił się nagle i nie do poznania.

— *Gewalt! gewalt!* ratunku! ratunku! wody! *gewalt!* — począł wrzeszczeć na cały głos, zdejmując równocześnie z siebie chałat i kamizelkę. Rzucił ubiór w kąat sieni, a sam, w koszuli tylko, wybiegł na drogę, wołając jeszcze głośniej:

— *Gewalt!* pali się!

I zanosił się od lamentu i drżał ze strachu.

Listy z Galicyi.

XXIV.

Sprawa spirytusowa, jak ją powszechnie w Wiedniu nazywają, nie schodzi z porządku dziennego. Delegaci, korzystając z feryj Świątecznych, rozsypali się po Galicyi, i każdy swoich wyborców zebrawszy, tłumaczył im stanowisko Koła polskiego w tej materii drażliwej. Po przeczytaniu kilkudziesięciu sprawozdań, utwierdziłem się w przekonaniu, że ustawa spirytusowa, w tej formie, w jakiej ją rząd centralny proponuje, nie jest dla nas możliwą do przyjęcia, gdyż musiałaby Galicyę zrujnować.

Kraj, jak nasz, biedny, wszelkiemi opłatami od stu lat niszczone, miałby o 15 milionów guldenów rocznie więcej dawać skarbowi, a tymczasem on nie ma z kąd wziąć i na te podatki, które teraz opłaca. Niech rząd dobrą administracją powiększy powszechny dobrobyt, niech stworzy nowe źródło dochodu, a gdy to nastąpi, nietylko 15, nawet 30 milionów chętnie mu damy.

— Dziękuję panu uprzejmie za grzeczność i proszę pamiętać i nadal o moich Środach — rzekła pani Sędzicka, podając gościowi rękę. — Pan Orlikowski! — dodała, zwracając się do swego najbliższego sąsiedztwa. — Proszę, spoczniij pan!

Wskazała Bolesławowi fotel obok siebie.

On usiadł, trwożny jak dziewczyna, którą wprost z pensjonatu przywieziono na bal i opuścił głowę.

— Pani Sędzicka spostrzegła jego zakłopotanie, więc przysłała mu z pomocą.

— Właśnie mówiliśmy o pańskiej recenzji komedii Otockiego — mówiła. — Jestem nią zachwycona.

Bolesław podziękował wdzięcznym uśmiechem, ale milczał. Zaczął się niepokoić, czuł, że mu płomień oblewa czoło. Oczem tu mówić wobec tych starych weteranów literackich? A jednak trzeba coś powiedzieć, aby się nie narażać na słuszny zarzut paraflańskiej niezręczności.

Przełożył nogę na nogę. Było mu coraz goręcej.

— Pan dobrodziej zamierza zostać w Warszawie? — odezwał się Kostromski.

— Tak, chciałbym...

Urwał nagle, i ruszał się na krzesło, jakby się chciał zerwać do ucieczki.

Milski uśmiechnął się urągliwie i odszedł do grupy osób, otaczających wieńcem pannę Adelę Milecką.

Jak wielki jest u nas brak gotówki, okazuje się najlepiej z tego, że miłościwie nam dziś panujący minister skarbu, dr. Dunajewski, zaprowadził całkiem nową instytucję sekwestratorów, którzy egzekwując podatki, ściągają od interesantów na swoje utrzymanie około 80,000 guldenów rocznie. Jeżeli się zważy, że w Galicyi mamy tylko 73 powiatów, to zaiste strach ogarnie, kto pomyśli, że biedacy każdego powiatu muszą przeszło 1000 guldenów rocznie za to złożyć, iż byli nadto biedni by w terminie mogli podatki uiścić. A mimo to minister woła: „Panowie Galicyanie, dajcie jeszcze 15 milionów!”

Doprawdy, byłoby to bardzo komiczne, gdyby nie było nadto tragiczne. O ile z wszelkich oznak można wnosić, ustawa spirytusowa, bądź radykalnej zmianie ulegnie, bądź też całkiem upadnie. Z wyjątkiem kilku członków Koła, wzdychających do tek ministerjalnych, wszyscy inni są zdecydowani głosować w Izbie przeciw ustawie, a gdyby takowa mimo ich opozycji została przyjęta, mają zamiar złożyć mandaty. Ponieważ rząd terazniejszy opiera się o prawicę, w której Koło polskie, liczące przeszło 60-ciu członków, odgrywa rolę ważną, często nawet decydującą, przeto ustąpienie kilkudziesięciu delegatów, musiałoby pociągnąć za sobą zupełne zwicnięcie dotychczasowej równowagi między stronnictwami, poczem, bądź gabinet by ustąpił, bądź też musiałoby przyjść do rozwiązania parlamentu. Rząd z obawy przed każdą z tych alternatyw, będzie starał się polaków udobruchać, lecz że to może nastąpić jedynie po uwzględnieniu ich słusznych pretensyj, przeto już dziś możemy być pewni, że kampania energicznie przez nas prowadzona, nie będzie przegrana.

Od lat dwudziestu pierwszy dopiero raz się zdarzyło, żeśmy się na energię zdobyli, i oto widzimy jakie są tego następstwa. Ci, którzy jeszcze wczoraj mieli nas za nic, zaczynają liczyć się z nami.

Skoro już mówię o ustawie spirytusowej, muszę przeto wspomnieć o jednej rzeczy, rzucającej światło wielce charakterystyczne na cały nasz konstytucyjonalizm, o którym niejedyn naiwny mniema, że jest szczytem ziemskiej doskonałości. Przez ciąg 27 lat, t. j. odkąd mamy konstytucję, posłowie, ilekroć uznali to za potrzebne, zwoływali swoich wyborców na tak zwane sejmiki relacyjne, aby na nich powiedzieć co dotąd uczynili, i co na przyszłość zamierzali działać. Przez lat 27 nie zdarzyło się ani jeden raz, aby władza taki sejmik rozwiązała. Dopiero w tym roku powtórzyło się to w kilkunastu miejscowościach równocześnie. Gdzie się tylko wyborcy zbrali, zjawiał się starosta i oznajmiał że sejmik rozwiązuje, ponieważ rząd nie został na 3 dni przed jego zebraniem o tem uwiadomiony! A więc jest jakiś paragraf, który domaga się takiego uwiadomienia. Lecz czemu przez 27 lat nikt się nań nie powoływał? Bo rządowi dawniej nic na tem nie zależało. Odgrzebał go zaś dopiero wtedy, gdy agitacja kraju dbającego o swoją egzystencję, zaczęła mu być niedogodną. Już to

— Pan nie zna jeszcze Warszawy? — pytała pani Sędzicka.

— Nie byłem tu dawniej nigdy, kształciłem się zagranicą, w Liège.

— A, w Liège, mam tam siostrzeńca, który chodzi na inżynierę — wyrzekł Kostromski. — Prawdopodobnie znał go pan.

Bolesław kolegował rzeczywiście z krewnym Kostromskiego.

Krytyk potracił o stosunki belgijskie, Bolesław odpowiedział. Rozmowa nawiązała się i potoczyła dalej, coraz żywsza, swobodniejsza.

Milski zbliżył się tymczasem do pięknej aktorki i stanąwszy za jej fotelem, oparł się na jego poręczu, i przechylił się do panny Adeli.

— Kokietujemy, kokietujemy — odezwał się z pobłażliwym uśmiechem na czerwonych ustach. — Któryż nieszcześliwy śmiertelnik jest teraz na porządku dziennym?

Artystka spojrziała na niego swemi błyszczącymi oczami, ściągawszy lekko brwi.

— W jakiej roli nauczyliśmy się tego piorunującego spojrzenia, jaką rolę gramy w tej chwili? — mówił Milski, nie zmieniając postawy. — Śliczne oczy! Możliwe się w ich wilgoci utopić, a w ogniu ich spłonąć do szczytu. Byłaby to śmierć rozkoszna.

nasza konstytucja, tak samo jak całe prawodawstwo austriackie, jest niezmiernie elastyczna, i przeciw każdemu paragrafowi, który coś twierdzi, można wstawić drugi, który tamtemu przeczy. Stara biurokracja austriacka widnieje wszędzie, korzenie zaś, które w organizm państwowy zapuściła, są tak głębokie, że wątpię by kiedykolwiek zdołano je wyrwać i zniszczyć.

Niedawno temu zmarł we Lwowie w pełnej sile lat męzkich, ś. p. Bolesław Czerwiński, który jako poeta, krytyk i dziennikarz, był także znany po za granicami Galicji. Zmarły nie należał do tych orłów, które szybując ponad ziemskim padołem kąpią się w słońcu i sami blaski na świat rzucają; talent jego nie był pierwszorzędny, pod względem przekonań społeczno-politycznych, miał on wiele stycznych z Babeufem, ale mimo to w gruncie rzeczy był to człowiek uczciwy, dobrych chęci, i mogący w każdej redakcji zająć przyzwoite stanowisko. Jeżeli się bardziej nie wyrobił, odpowiedzialność za to spada przeważnie na tę smutną okoliczność, że we Lwowie, gdzie w chwili obecnej wychodzi aż pięć wielkich i codziennych pism politycznych, nie ma ani jednego prawdziwego redaktora, któryby talenta wyszukiwał, niemi kierował, dodawał im zachęty do pracy, słowem, któryby im służył za przewodnika, nie przestając równocześnie być ich przyjacielem.

Dziennikarstwo lwowskie, zazdroszcząc „Kuryerowi“, który w czasie stosunkowo niedługim, zdobył największą liczbę prenumeratorów, przybiera coraz bardziej ton kuryerkowy, i do tego już doprowadziło, że nawet na marginesach inseraty drukuje. Takich rzeczy nie robiło dotąd żadne pismo przyzwoite. Prócz tego, i to jest ponoś największym nieszczęściem prasy lwowskiej, do każdego z dzienników niezawisłych wkręcili się już żydzi. W „Kuryerze Lwowskim” jest ich dwóch, jeden w „Gazecie Narodowej“, jeden w „Dzienniku Polskim“. Żydek pracujący w tym ostatnim organie, wyrobił sobie w nim nawet stanowisko decydujące, ponieważ pisuje artykuły naczelne. A jak one wyglądają? Oto czyta on kilka artykułów o sprawach bieżących w dziennikach wiedeńskich, redagowanych także przez żydów, i z tych układa własny, oryginalny, w którym jednak nie ma nic takiego, coby polskiego czytelnika, bądź rozgrzać, bądź zachwycić mogło. W każdym słowie czuć człowieka zimnego dla społeczeństwa, którego nie zna, z którym się nie zżył, o którego potrzebach i dążeniach, najmniejszego nie ma wyobrażenia. Przerazające mierności muszą być w tem piśmie, skoro pierwszy lepszy semita, mający tylko spryt, nic więcej, umiał sobie w nim wyrobić tak wpływo- we stanowisko. Wśród takich warunków i między takimi ludźmi, ś. p. Czerwiński musiał się zmarnować! Szkoda jednak uczciwego i zdolnego człowieka, gdyż opróżnione przezeń stanowisko, zajmie albo jakaś mierność nad miernościami, albo, co nierównie gorsze, znów jakiś żydek.

Po dniach ciepłych, słonecznych, prawdziwie wiosennych, w Marcu bowiem mieliśmy już w tym roku wielką

ilość fiołków, nastaly znów zimna, i znów śnieg pada. Ozi- miny wyszły z pod śniegów bardzo piękne, a nawet późniejs- sze dzięki kilkudniowemu ciepłu tak się poprawiły, że w tym roku możemy spodziewać się wcale dobrego urodzaju. Lecz co nam da nowy urodzaj, skoro dotąd zboża zeszłorocznego sprzedać nie możemy. Za żyto (100 kilogramów) nie ofia- rowują ani 4 guldenów, a za pszenicę ledwie 6 guldenów. Takich cen nie było w Galicji od lat trzydziestu, chociaż wtedy były nierównie mniejsze potrzeby niż są za dni naszych. I zkaż tu wziąć nowych 15 milionów dla p. Duna- jewskiego?

Rolarz.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Porzuciwszy marzenie o rządzeniu Europą, redaktor- ka „Przeglądu“ czytane go o ile możności jak najmniej, ograniczyła się do próbowania efektu swoich rękopisów na małym kółku zaproszonych pseudo-romansopisarzy, pseudo- poetów, pseudo uczonych, których umysł przygotowany był do pobłażliwości przez zadowolony żołądek. Ma ona dla nich dom w mieście na zimę i mieszkanie wiejskie na lato. Blanka Kastylska na to założyła opactwo des Vaux-de-Cernay, żeby je pani Natanielowa Rotszyldowa mogła kupić za nasze pieniądze i żyć w niem wygodnie. Nie wiem która z monarchiń zbudowała opactwo de Gif, gdzie pani Adam, niby wesoła piekarka, puszcza w obieg talary zyska- ne na pożyczce meksykańskiej. To pewna, że jest tam dosko- nała wyzerka. Po gości przyjeżdżają do domu, zawożą ich, opajają i okarmiają, a wieczór odwożą, zapisawszy skru- pulatnie ich nazwiska, aby je zamieścić w jutrzejszych dziennikach. Kronika twierdzi nawet, że ci których „Poganka“ mocniej wzrusza, dostają coś w kieszeń na odjeździe.

Jaki będzie koniec tego wszystkiego? Wyznaję że on mnie niepokoi. Jest pewien rodzaj stygmatu, nie powiem tragicznego ale złowrogiego na tej kobiecie, dla której Fortuna wyczerpała zdaje się swoje uśmiechy; niejednokrotnie nie byłem w stanie obronić się temu bolesnemu wrażeniu. Może ujrzymy jeszcze panią Adam gdzieś na piątym piętrze ulicy Coquenard utrzymującą „wielką grę“ albo ofiarującą jakiś romans „Pszczoła z Lonjumeau“, któ- rego pismo to nie przyjmie.

Wobec takiego widoku, można zrozumieć melanco- liczne słowa de Leuven'a.

„Głupia to rzecz umrzeć — mawiał on — ale kontent

— Nie przeszkadzam — odparła aktorka, pokazując dwa sznurki równych, ostrych ząbków.

— Schrupałoby się z przyjemnością takiego motyla, jak moja osoba? Prawda? Ale mnie rosną już zęby mądrości. Zapóźno!

Lekko uderzyła aktorka Milskiego wachlarzem po ramieniu.

— Niepoprawny bałamut! — szepnęła z dziecięcym gry- masem na buzi.

— Cudowniel Wyborna maska do „Zbudziło się w niej serce“. Proszę pamiętać i nie fuserować na scenie.

Rozśmiali się oboje: literat i artystka.

Panna Milecka bawiła się przez kilka chwil wachla- rzem, nagle zwróciła się do Milskiego i wyrzekła cichym głosem.

— Ta Jaźwińska zaczyna znów bruzdzić. Wkradła się w zaufanie reżysera i chwyta mi z przed nosa najlepsze role.

— No i cóż dalej? — mówił Milski obojętnie.

— Czy pan da wiarę, że mi ten gbur powiedział dziś kilka słów niegrzecznych?

— A dalej? ...

Błysk gniewu mignął w oczach aktorki.

— Co dalej? Jakgdybys pan nie wiedział, co trzeba uczynić.

— Ale wiem, wiem. Trzeba Jaźwińskiej i reżyserowi sprawić lanie, aby spokornieli, tylko, że ja tego nie zrobię.

— Dlaczego?

— Bo zbrzydły mi wasze śmieszne komeraże teatral- ne. Słuchaj, panienko — mówił Milski szeptem. — Mam dosyć twoich drobnych interesów, dla których się niepotrzebnie ludziom narażam. Poszukaj sobie innego paladyna, młod- szego, głupszego, który będzie wierzył twoim przesłicznym oczom i jeszcze piękniejszej buzi. Mogę ci nawet poradzić, bo oto przybył właśnie do Warszawy taki naiwny gil, któ- rego nietrudno złowić, gdy się do niego dobrze zabierzesz. Jest nawet między nami.

— Któż to taki? — zapytała aktorka skwapliwie.

— O, znasz go dobrze, panieczko. Skrobnął cię po- rządnie w „Gwiazdzie“?

— Orlikowski?!

— A widzisz, że go znasz. Wy znacie wszystkich, którzy wam prawdę mówią.

— Gdzie on? Pokaż mi go, bałamucie?

— To ten brunecik, który rozmawia z panią Sędzicką. Milski wskazał binoklami na Bolesława. Za jego ra- mieniem pobiegł wzrok aktorki.

— Przystojny! — wyrzekła. — Jakaś dobra gęba.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

jestem niemal, gdy pomyślę, że nie będę już słyszał ani o Sarze Bernhardt, ani o „wielkim francuzie“.

Jak to być może, że p. de Lesseps nie rozumie tego, że bezceści żywot swój, który ostatecznie był piękny i pracowity, tym szarlatanizmem wyuzdanym? Po co mięszać swoje dzieci do wszystkich tych reklam finansowych, wystawiać ciągle na pokaz te biedne maleństwa, niby w obrazie Peleza, opisywać co chwila swoją *nursery*.

Jak przyjęłoby stowarzyszenie inżynierów kogoś, coby mu przyniósł tom wierszy? Jakim tytułem p. de Lesseps staje jako kandydat do Akademii francuzkiej, dla tego jedynie że wykopał kanał?

Człowiekowi w wieku pana Lessepsa wszystko wybaczyć można, ale co myśleć o p. Pailleronie, który przyjęcie swoje do Akademii płaci jej upokorzeniem. Było coś, co nakazywało mimowolnie szacunek dla tego zakątku Francji, przeznaczonego wyłącznie dla nauk, do którego wciskała się czasami polityka, ale gdzie kwestye pieniężne były nieznane, gdzie dobre uczynki zaznaczano rozdawnictwem nagród cnoty. Pod pozorem, że jego akcje panamskie pójdą w górę, gdy ludzie wyczytają na zawiadomieniach o emisyi: „P. Lesseps, członek Akademii francuzkiej“, p. Pailleron nie spoczął, dopóki nie wmięszał w operacje giełdowe instytucji niegdyś szlachetnej. Dziś przyjęto p. Lesseps, jutro przyjmą p. de Soubeyran albo p. Lebaudy; akcje będą się podnosić lub spadać według tego czy dyrektor przedsiębiorstwa zostanie lub nie zostanie przyjęty w pałacu Mazarina. Gdy zajdzie jakaś trudność podczas dyskusji nad sławnym słownikiem, będzie można poprosić Pingerda aby się przejechał do Mazas i tam zasięgnął zdania którego z członków, bawiących na willegiaturze, za rozdanie dywidend fikcyjnych.

A jednak, jakąż wspaniałą rolę mogła odegrać Akademia: reprezentować w tem ogólnem rozbiściu poszanowanie wszystkiego co stanowiło starą Francję, zachęcać swoją pochwałą, podnosić swoimi głosami tych, co pozostali wiernymi szlachetnemu ideałowi — jednym słowem: być francuzką!

A dziś, jakąż ona jest francuzka! Ścisła za rękę współnika Offenbacha, żyda, który spełnił zadanie swojej rasy, trawstując, przy wybuchach śmiechu tłumów, czyste kreacje aryjskiego geniuszu Grecji; pracował sumiennie dla Prus, ucząc żołnierzy przedrwiwać generałów, wystawiając na pośmiewisko pioropusz wodza, który powiewał niegdyś ponad bitwami, służąc za sygnał zborny; szablę ojców, która migocząc w bohaterskich natarciach, tylokrotnie ocaliła ojczyznę.

Utwór demoralizujący, wyznaje, udał się zupełnie i jest prawdziwie żydowskim. Człowiek który go napisał wiedział co robił. Słowa nakreślone w r. 1867 zdają się być prognostykami na r. 1870. Generał Boum, który oświadcza że wojna polega na „przecinaniu i otaczaniu“ opowiada naprzód nasze nieszczęścia i jestto nasza własna armia, która się poddaje „trzema drogami ku jednemu punktowi, na którym ma się skoncentrować“.

Nie ulega wątpliwości, że publiczność teatru Rozmaitości nie jest bardzo przystępną dla uczuć wyższych, a jednak, gdy na przedstawieniu usłyszano aktora który przedstawiał generała Boum, wołającego: „Gdzież jest nieprzyjaciół?“, stało się nagle wielkie milczenie. Na chwilę w sali tej pełnej zdechłaków, giełdowiczów, składających tak zwany *Tout Paris*, stanęła mara najazdu, groźne widmo klęski. Ujrzano naszych generałów, szukających wskazówek na widnokregu tej Francji, której dróg nie znali, nasze pułki zawsze zdybywane niespodzianie i naszych nieszczęśliwych żołnierzy, padających tysiącami od kul, niewiadomo z kąd pochodzących.

Gdyby się zapytano jednej z tych blanszowanych dziewcząt które tam były, co myśli o tym utworze, którego celem zdawało się być zgaszenie w sercach wszelkiej iskry męstwa, byłaby zawołała: „To utwór nikczemny!“. Tymczasem Kamil Rousset, uczony historyk, Aleksander Dumas, autor pięknych „Listów Juniusza“, Sardou, autor wzruszającego dramatu „Patrie“, orzekli: „Utwór ten jest piękny, i nagradzamy jego autora, przyznając mu zaszczyt, jakiego nie otrzymali ani Balzac, ani Venillot, ani Gauthier, ani Proudhon, ani Paweł de Saint-Victor“.

W chwili gdy Niemcy wznosiły z wielką pompą, na szczycie Niederwaldu, dumny posąg Germanii, Akademia zapragnęła zanucić *Pean* na swój sposób, i wmięszawszy się w tercet Bouma, Pucka i Księcia Pawła, zaintonowała znany śpiew:

„Il sera vaincu,
„Il sera battu.“ etc.

Punktem na który dobrze zawsze zważać należy jest hipokryzja, kłamstwo, konwencyonalność, które są pieczęcią, stygmatem epoki. Akademyści nie są uczciwie, szczerze swawolni: przemawiają uroczyście, twierdzą że talent nie wystarcza na to aby wejść do Akademii, ale że należy jeszcze dobrze ten talent zużytkować.

„Toż to jest — powiada im ktoś — dobre zużytkowanie talentu, gdy kto opowiada, z wszelkiego rodzaju tłustemi szczegółami, historję — żydowską zresztą — matki sprzedającej swoje potomstwo, jak pani Cardinal, ojca żyjącego dostatnio na koscie kochanka swej córki? Więc to taką literaturę dajecie za wzór młodym ludziom?“

Oni mają wtedy minę poważnych starców, których zdybano wychodzących z nieprzyzwoitego miejsca, i którzy zmieszani nie zaraz są w stanie przybrać postawę odświętną.

W końcu decydują się mruknać: „O, tak panie! Akademia, to wielka instytucja, my lubimy przyzwoitość, zdamy dzieł wzbudzających patryotyzm, podnoszących serca: *Sursum corda!*“

Jako przykład tego: *Sursum corda!* warto przypomnieć co się stało podczas pogrzebu Wiktora Hugo. Nic nie doodzi lepiej ponizenia, w jakie popadła Akademia. Przemawiać miał z urzędu p. Maksym du Camp, i przyznać trzeba, że zdecydowany nie cofnąć się przed niczem, przygotował zaraz mowę, oświadczaając że ją wypowie z dwoma rewolwerami w kieszeni. Dodajmy, że mowa ta była w całym tego słowa znaczeniu pochwałą poety, którego p. Maksym du Camp uwielbia jak nikt w świecie.

Akademia, pierwsza instytucja naukowa w całej Francji, ulekła się pogrożek kilku dzienników czerwonych, i, wbrew wszelkim zwyczajom odmówiła p. Maksymowi du Camp prawa przemawiania w jej imieniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA POSTERUNKU.

Dwa fakta zajmujące uwagę świata. — Choroba cesarza niemieckiego i b u l a n z y z m w Francji. — Bękart „epoki oświeconej“, czy naturalne jej dziecię? — Niebezpieczna wysokość. — Uczony wywód pana Jojny o jedności chryztyanizmu z judaizmem. — Odpowiedź „Przeglądu Katolickiego“ i pouczająca wskazówka dla pewnych dzienników konserwatywnych. — Nadmierny wylew uczuć braterskich. — Gdzie byłby najwłaściwszym? — Jedna więcej zbrodnia proboszcza wyśledzona przez „Prawdę“. — Fałszywe raporty i jedno więcej kłamstwo. — Protest przeciw potwarzy i bezstronność jej roznościeli. — Czemu i komu wierzyć? — Pytanie a propos rabinów. — „Prawda“ jako organ wolny od względów kastowości.

Dramat rozgrywający się ostatecznie w Charlottenburgu i b u l a n z y z m w Paryżu — ba, i w Warszawie także! — oto dwa fakta, zajmujące dziś uwagę świata. Maleje wobec nich wszystko, nie wyłączając sporu, jaki panowie postępowicze warszawscy wiodą między sobą, dzieląc się na coraz liczniejsze i coraz mniejsze — oboziki. Nic to złego; owszem, jest to bardzo dobre, rzekłbym nawet: jest to może jedyna ich robota, którą przysły historyk semicko-warszawskiego postępu zapisze w rubryce p l u s ó w.

Powtarzam jednak, wszystko to jest małym wobec wydarzeń, z któremi nawet nasi politycy warszawscy nie umieją sobie poradzić. Oni, co tyle już rad zbawiennych udzielili gabinetom europejskim, co tak znakomicie odgadywali plany najpierwszych mężów stanu, dziś nie umieją odpowiedzieć światu na pytanie: co będzie? Bo istotnie, chwila to równie doniosła, jak wysoce tragiczna. Władca potężnego państwa dogorywa w chwili, gdy właśnie najgoręcej pragnąłby żyć, dla wcielenia idei wypiastowanych w szlachetnem sercu i umyśle wzniosłym. Za ledwie objął rządy i położył na nich pierwsze znamię niepodobne do „krwi“ ani „żelaza“, a już śmierć stanęła przy tronie i czyha. I malutką znowu wydaje się wobec tego wszelka „wiedza“ ludzka, niedołączną nauka, bezsilnym rozum jej adeptów — bezsilnem jest to wszystko, wobec wyroków niezbadanych Tego, którego Woli nic oprzeć się nie zdoła.

Tragiczne to, mówię, ale i pouczające.

Pouczającym jest niemniej i b u l a n z y z m, na który oszalała Francja, a z powodu którego — tak przynajmniej donoszą „Kuryery“ — toczą się bójki po cukierniach w rozpolitykowanej Warszawie. Kim jest naprawdę Boulanger? — naturalnie, nie wiem, tak dobrze, jak nie wiedzą „najwytrawniejsi“ politycy nasi; muszą o nim jednakże wiedzieć coś francuzi, skoro tak kategorycznie nazywają go „błagierem“, „obłudnikiem“ i „kłamcą“. Kiedy, mówią oni w jednej z swoich gazet republikańskich, Boulanger z gromnicą w ręku chodził za procesjami biskupa Bolleya, okłamywał Boga. Teraz, chodząc w czapce frygijskiej za dziennikiem „Lan-

terne“, okłamuje lud. Jest on dwujęzyczny, trójjęzyczny, cztorojęzyczny. W południe je śniadanie z bonapartystą, wieczorem obiada u Rocheforta. On tak żyje kłamstwem, jak inni ludzie oddychają powietrzem“, etc.

I taki człowiek—wołają ze zgorzeniem—budzi dzisiaj dla siebie uwielbienie w jednym z najwyższych ucywilizowanych narodów, i przed takim człowiekiem tłum pada na kolana, rycząc: „niech żyje!“ — i takiemu człowiekowi pół miliona wyborców daje swoje kreski. Dziwne to i niezrozumiałe! Przepraszam, drodzy panowie politycy, to bardzo naturalne i bardzo zrozumiałe! Odkąd ów „najwyższy ucywilizowany naród“ poczał, w imię świętej wolności (!), usuwać Boga z kościołów, czyli odkąd poczał przechodzić w stan najwyższego... zdziczenia, — od tej chwili wszystko co się tam dzieje, nikogo dziwić nie powinno. I ów przeto bułanizm jest objawem logicznym. Naród, który wyparł się Prawdy niezmiennej, wiekuiestej, musi iść za kłamstwem i wielbić najwybitniejszych jego bohaterów. Boulanizm to nie żaden, jak go niektórzy nazywają, „bękart dzisiejszej epoki oświeconej“, ale przeciwnie naturalne jej dziecię. Naturalne to dziecię tego prądu niewiary i zezwierżenia, które ów naród „przodujący cywilizacy“ zaprowadziły na taką wysokość, że upadek z niej na złamanie karku jest już bardzo łatwym.

Nie wiem czy nasz „Izraelita“ nie życzy w duszy takiej ewentualności wszystkim razem „goimom“, a nade wszystko czy nie życzył jej w chwili, gdy zacofanemu światu ogłaszał w swoich szpaltach nową, wysoce postępową tezę: chrystyanizm i judaizm to jakby jedno i to samo (!). „Granice na organach (o czym doniósł ten brzydki, żydowski er-czy p am flet!) przez chrześcianina w synagodze podczas nabożeństwa, nie może w niczem uwłaczać religijnemu uczuciu tegoż organisty, gdyż obie religie, t. j. chrześciańska i żydowska, mają pochodzenie wspólne, wspólne podstawy wiary i do jednego zmierzają celu — uszlachetnienia ludzkości“.

I dumnym był pan Jojua z uczonego wywodu, i przyklasnęli mu bracia w Izraelu, gdyż najpodatniejszym dla nich łupem są właśnie chrześcianie, co uznając równość i tej i owej religii, nie wyznają żadnej i nie wierzą w nic. To zgnilizna — a zgnilizna wszelka, toż to żer dla — robactwa. Powtarzam to po raz nie wiem już który i powtarzać będę, gdyż chciałbym, aby każdy Polak nie zżydział jeszcze, jeżeli chce patrzeć na tak zwaną „sprawę żydowską“, patrzył na nią przedewszystkiem z tej strony; — tutaj punkt jej ciężkości.

Bądź co bądź, chciałem zainterpelować uczonego męża od „Izraelity“ — zainterpelować go mianowicie w kwestyi „uszlachetnienia ludzkości“ przez — talmud, gdy tymczasem uczynił to organ, na którego powadze i kompetencji, w sporze tego rodzaju, można śmiało się oprzeć.

... Cały wywód („Izraelity“) — powiada „Przegląd Katolicki“ — o tożsamości obu religij jest tylko kuglarstwem, wykonaniem za pomocą zręcznego zeskamotowania kilku faktów i przestawienia kilku pojęć“. A objaśniwszy dalej na czym to zeskamotowanie polega, tak mówi jeszcze „Przegląd“:

„Judaizm dzisiejszy nie jest judaizmem starotestamentowym, ale jego najzupełniejszym zwyrodnieniem“. Judaizm dzisiejszy — czytamy dalej — „nie tylko z chrystyanizmem, oprócz historycznych wspomnień przeszłości, nie ma nic wspólnego, ale z natury swej jest on chrystyanizmem wrogim, za to, że chrystyanizm, jako wypełnienie starego przymierza, samym faktem swego pojawienia się odjął mu jego rację bytu.“

„Dla tego też to, co Izraelita cytuje z księgi Królewskiej o modlitwie obcych w świątyni Salomonowej, bynajmniej stosować się nie może do organisty grającego w bóżnicy. Co innego jest bowiem ta świątynia starotestamentowa ludu wyczekującego Zbawiciela, a co innego bóżnica ludu który tego Zbawiciela odrzucił — i który za to z ludu wybranego został ludem odrzuconym, pozbawionym świątyni, ofiary, kapłana, i rozproszonym pomiędzy wszystkie ludy na świadectwo prawdzi“ etc.

Jasna tedy i wyraźna opinia „Przeglądu Katolickiego“, nie tylko daje należyłą odprawę uczonego Jojnie, nie tylko wykazuje jego... kuglarstwo, ale posłużyć może nadto za pewną pouczającą wskazówkę dla pewnych nawet konserwatywno-katolickich (?) dzienników, które mówiąc naprzykład o bóżnicy na Tłomackim, dają jej tytuł „świątyni“ (!). Tolerancja jest rzeczą piękną, nawet bardzo piękną, ale i ona, jeżeli jej będzie za dużo, może stać się niezdrową. Pojmuję, że dziennikom owym idzie bardzo o jedność, ró-

wność i t. d. z „polakami mojżeszowymi“; ale czyby nie było to właściwym, gdyby wszystkie te uczucia braterskie wylały się przy suto zastawionych stołach wydawców starozakonnych, bez obrażania publicznie uczuć prawdziwie chrześciańskich?

Niechże panowie „assymilatorzy“, dla których i świątynia nasza i bóżnica żydowska zdaje się być jednym i tem samem, pomyśleć raczą nad powyższym pytaniem mojem skromnem, a tymczasem powiem Wam jeszcze o odkryciu, przez „Prawdę“ pana Świętochowskiego, nowej „zbrodni księżej“.

Niez mordowany to organ w tropicielstwie tego rodzaju. Wszak wynajdywał on już księży, którzy do sań czy wozów, zamiast koni, zaprzęgali dziadów kościelnych; wynajdywał i takich którzy zadawaną pokutą zabijali (tak!) ludzi niewinnych; nie dziw więc że obecnie wyszedł znów proboszcza który obdziera parafian dlatego aby — żydom na lichwę pożyczać pieniądze! Proboszcz taki miał być w Ostrowiu (gub. Łomżyńska). Miał być, ale jak się okazało właśnie, nie ma go i nie było wcale, tak samo, jak nie było ani jednego raportu podobnego w „Prawdzie“ któryby się okazał zgodnym z rzeczywistością. Ani jedno z tych szlacheckich doniesień „Prawdy“, nie zawierało w sobie nic prócz — kłamstwa. Mówiąc krótko, i teraz nie zdradziła „Prawda“ swego tytułu w odwrotnem jego znaczeniu. Jakiś młody i naturalnie postępowy (!) malkontent, niejaki Zdanowski, zmonitowany przez kapłana, za niewłaściwe zachowanie się w świątyni, złożył tytułem dobrowolnej kary, na budowę kościoła rubla, równocześnie jednak złożył on i fałszywy raport „Prawdzie“. „Prawda“ paszkwił wydrukowała, ale też wkrótce otrzymała — jak to zresztą sama zaznacza — „podpisany zbiorowo“ protest, stwierdzający, że potwarz trafiła najniewinniej w kapłana i człowieka zacnego, jak również że doniesienie o operacjach pożyczkowych proboszcza jest niegodnem — kłamstwem. I sądzicie może że „Prawda“, w imię *prawdy*, protest ten wydrukowała w całości? Otóż nie; i w tym razie „Prawda“ nie sprzeniewierzyła się swojemu odwrotnemu hasłu. O proteście ogólną zaledwie wzmiankę (Nr. 16), a i tę chcąc jeszcze osłabić, dodała sensacyjnie: „oddaleni od miejsca sporu musimy powtarzać tylko zdania cudze na odpowiedzialność cudzą“. Miły Boże! co za szlachetna, budująca bezstronność! Gdy jakiś niedorośli miasteczkowy pozytywista pisze i przysyła kłamstwa, ubliżając najnieuczciwiej godności, stanowisku kapłana — „Prawda“ bez sprawdzenia drukuje; ale gdy ludzie poważni protestują zgodnie przeciw krzywdzie moralnej, wyrządzonej swojemu pasterzowi — *Prawda*, „oddalona od miejsca sporu“, nie wie komu ma wierzyć. My jednak wiemy, a nawet wie zapewne każdy z czytelników „Prawdy“ — posiadający jeszcze jakąś odrobinę *przesąd* u nazwanego sprawiedliwością. Wie on, choćby z tej bladej wzmianki o proteście, że „Prawda“ pomieszczyła jedno więcej oszczerstwo na księdza katolickiego. Dla czego jednak nie spotkało nic podobnego nigdy jeszcze, w tem piśmie, żadnego żydowskiego rabina?... Ano, bo „Prawda“ jest organem *postępu* — organem wolnym od względów — kastowości...
Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Do pięknych Pań, apostrofa. — Wyroczone słowa i mus moralny. — *Fiat justitia!* — Rządy kobiece w Kansas. — Słodka dola mężczyzn tamtejszych. — Jedyne nieco subiekcyjne rozporządzenie. — Okrutny los rodu męzkiego w Europie. — Jedyne rada na to. — Królowa Krystyna nie pojedzie do Kansas. — Śmierć i mamalyga. — Boulanger Dziewicę Orleańską. — Pannowanie blagi. — Prelekye kta. — Co miałyby jeszcze większe powodzenie? — Ostateczności się stykają. — Książę Bismark i cesarz Fryderyk. — Polepszenie w zdrowiu cesarza. — Manifestacje bulanżystów. — Ruch chłopski w Rumunii. — Przesilenie ministeryalne w Serbii. — Powrót wyprawy włoskiej z Afryki.

O piękne panie! gdybyście wiedziały co się w tej chwili dzieje we mnie, jaka walka wre w głębi mej duszy, żałowałybyście mnie szczerze — ba! zapłakałybyście może nademną. Walka to sroga, straszliwa; walka między sumieniem kronikarskiem i życzliwością dla Was z jednej, a poczuciem obowiązków społecznych z drugiej strony. Słowa bowiem, które z pióra mego spaść mają na ten papier, ogromną brzemienne są przyszłością. Mogą one dokonać zupełnego przewrotu naszego społeczeństwa; ba! gdyby tylko naszego społeczeństwa, ale to całej starej Europy; ba! gdyby tylko starej Europy, ale to ludzkości całej!... Mogą, na korzyść jednej, jedynej miejscowości, pozbawić świat cały najpiękniejszej jego ozdoby, najlepszej jego

czątki, najcenniejszego jego klejnotu, najwonnejszego jego kwiatu—jednym słowem, mogą pozbawić go Was, o piękne Panie!...

Ale co robić! Moralny mus, twardszy od przysłowio-
wego niemieckiego orzecha, w żelazne swoje kleszcze ima
moją prawicę, przyciska ją do papieru i każe pisać... Jeszcze
się chcę opierać, ale kości moje trzeszczą w żelaznym
uścisku: ano, zresztą panie dobrodzieju: *Pereat mundus, fiat
justitia!*

Otóż, proszę łaskawych Pań, w Ameryce, w tej ob-
mierzłej Ameryce północnej, w stanie Kansas, jest takie
jedno miasto, w którym... w którym — tak zwani „panowie
świata“ przestali zupełnie być panami, a rządy objęły —
kobiety! Co najboleśniej jest dla tych, co się do jakiej-
kolwiek solidarności z pięcią brzydką kanzaską poczuwają,
to to, że rewolucya ta dokonała się bez żadnej walki, bez
oporu; Kansas, bez wylania najmniejszej kropelki krwi,
zamieniło się w... Eldorado — no, oczywiście w Eldorado.
Mężczyźni, w jednym oka mgnieniu, zwolnieni zostali od
ciężących dotąd nieznośnie na nich obowiązków przodowa-
nia społeczeństwu, instruowania go i obrony jego, a nato-
miast zajęli łatwe a miłe stanowiska kucharek, młodszych,
„do wszystkiego“ i t. d. Trochę subiekcyonalnym wydaje
im się podobno ostatnie rozporządzenie, polecające pełnić
im również obowiązki matek; no, ale święci garnków nie
lepią: trochę dobrej woli, trochę aplikacyi, a i to się z cza-
sem robi, a wtedy będzie już jak najlepiej w najlepszym
z Kanzasów.

W tej chwili, kiedy już cofnąć się nie mogę, widzę do-
piero całą doniosłość następstw, jakie słowa moje wywołają;
widzę istną wędrówkę narodu niewieściego ze starej na
nową półkulę, widzę okropność położenia, jakie dla własnej,
brzydkiej płci, niebacznie zgotowałem. Cóż my tu pocniemy
sami, biedni, opuszczeni — sieroty, po naszych żonach,
matkach, siostrach, po naszych jednym słowem tyrankach.
Ano niema co, tylko trzeba kark dobrowolnie poddać pod
jarmo i wyruszyć *en masse* także do Kansas, choćbyśmy
wszyscy mieli pójść w służbę za mamki...

A kto wie... może też i nie wszystkie kobiety wyemi-
grują do Kansas?... Pozostanie zdaje się wśród nas pomię-
dzy innymi królowa Krystyna, regentka hiszpańska, która
i w starej Europie umie znajdować sposobności do czynów
i postępów, chlubę płci niewieściej przynoszących. Istniał
w Madrycie zwyczaj, że w czasie wielkiego tygodnia panu-
jącemu przysługiwało prawo ulaskawienia trzech skazanych
na śmierć; otóż królowa Krystyna w zwyczaj ów wprowa-
dziła tę zmianę, że zamiast trzech, ulaskawiła ośmnastu.
Dla czego ośmnastu? nie wiem, może dla tego że więcej
skazanych nie było, ale to wiem, że nawet na uczucie dumy,
przejmujące prezydentkę republiki kanzaskiej, nie zamie-
niłbym uczucia, jakiego doznawać musiała zacna monar-
chini hiszpańska, gdy podczas nabożeństwa w kaplicy pała-
cowej wielki jałmużnik dworu wskazując na leżące na stole
wyroki śmierci, zapytał jej: „Czy Wasza Królewska Mość
przebaczasz tym zbrodniarzom ich winy?“ — a ona odpowie-
działa: „Przebaczam, tak jak pragnę aby mi Bóg moje
przebaczył!“

Dziwna rzecz, jak rozmaitemi bywają skłonności, upo-
dobania, zamiłowania, wstępy, radości i trwogi ludzkie!...
Niektórzy tak boją się śmierci, że słuchać o niej nie lubią;
ja znów przyznam się, że wybierając z dwojga złego, gdy-
dym był skazany na śmierć albo na jadańie mamałgi (papka
z mąki kukurudzanej z wodą), wybrałbym bez wahania
pierwsze. Tymczasem znalazł się słyszę rumun, nazwiskiem
Vitescu, rodem ze wsi Bodza, który dobrowolnie, nie zmu-
szony do tego żadnym wyrokiem (chyba wyrokiem losu),
przez całe życie nic a nic nie jadał oprócz mamałgi i przy
tej przyjemnej strawie, pozwoił sobie umrzeć dopiero temi
dniami, mając lat ni mniej ni więcej, jak 115!... No, na to
trzeba być chyba tylko — rumunem...

W tem miejscu, lubo niezupełnie mimowolnie, nasuwa
się jednak pytanie: Kim trzeba być, żeby się porównać
z Dziewicą Orleańską?... Otóż ponieważ odpowiedź jest
przytrudną, więc dam ją odrazu: Na to trzeba być—Boulan-
gerem... Tak jest, Boulanger zaszedł już tak daleko, iż
twierdzi, że jest na wyratowanie Francji przez Boga zesta-
ny, — a kiedy mu ktoś na to zrobił uwagę, że w takim razie
jest drugą Dziewicą Orleańską, odrzekł z najzimniejszą
krwią: „Kto wie!“...

Popularność tego arcyblagiera, jest znamieniem czasu,
w którym błaga tylko popłaca. To też gdzie się obrócić,
wszyscy blagują. Blaguje „La Tribuna nacional“ dziennik
w Buenos Ayres wychodzący, że za telegramy z manifestami
cesarza Fryderyka zapłaciła 1,000 dolarów; blaguje jeszcze

grubiej Kuryer Warsz.“, twierdząc, że za też same telegra-
my zapłacił 560 rs.; jeszcze grubszą blagą urządza p. Berry,
kat sobie angielski, który jedzie do Ameryki z odczytami
o zbrodniach i zbrodniarzach, których miał w swojej opiece.
Gdyby tak mógł urządzać szereg prelekcij jako wisielec,
lub ścięty, trzymając własną głowę pod pachą, to by to był
dopiero sukces!.. Przyjemny czas i duch jego, niema co
mówić!...

Ostateczności się stykają. Zaledwie przesilenie kan-
clerskie w Berlinie zostało jako tako załatane, a już dzien-
niki berlińskie rozpisują się o tem, jak kanclerz codziennie
przysyła choremu cesarzowi, potajemnie prawie, wonne
kwiaty, i jak nie może powstrzymać łkania na widok cier-
pień koronowanego męczennika, na którego przelał całe
przywiązanie, jakie żywił dla nieboszczyka jego ojca.

Tymczasem zdrowie dostojnego pacjenta w ostatnich
dniach niespodziewanie poprawiło się znacznie; stwierdza to
nawet „Norddeutsche allg. Ztg.“, która dotąd zdawała się
przodować w udzielaniu pesymistycznych wiadomości. Na-
wet wzruszające z natury swojej widzenie się z królową
Wiktoryą, która po spotkaniu z cesarzem Franciszkiem
Józefem w Insbrucku, przybyła już do Berlina, nie wpłynę-
ło szkodliwie na zdrowie chorego. Nie jest tylko jeszcze
rzeczą zdecydowaną, czy to jest tylko chwilowa poprawa,
czy stanowcze przesilenie choroby. Wobec tego co przed
paru dniami pisano z Berlina, jest to zawsze wiele, bardzo
wiele, że kwestya tak może być posta-wiona.

Boulanger zjawił się już w francuskiej Izbie deputo-
wanych w charakterze deputowanego z departamentu du
Nord. Zjawienie się jego w samej Izbie przeszło bez żadne-
go wrażenia, ale gdy wracał z Izby, stronnicy jego urzą-
dzali mu po drodze wielkie na jego rzecz manifestacye i po-
bili studentów, którzy przeciwko niemu demonstrowali.
Studenci podali do Floqueta skargę na policję, że podczas
tych demonstracyj brała stronę bulanzystów.

Ruch chłopski w Rumunii nietylko nie ustał, ale groź-
ne przybiera rozmiary. W niektórych gminach włóścianie
domagali się podziału pszenicy, należącej do właścicieli
dóbr. Przeciwko rokoszanom musiano użyć wojska regu-
larnego, gdyż milicya nie miała ochoty bić się z nimi.

W Serbii zgoda radykalistów z królem Milanem już
się rozbiła. Stronnictwo to nie dotrzymało warunków ukła-
du zawartego z królem; w Skupczynie było jeszcze jako ta-
ko, ale po za Skupczyną szerzono agitacyę antydyna-
styczną i usiłowano wywołać powstanie w Bośni i Hercego-
winie. Nareszcie i w samej Skupczynie większość przyjęła
ustawę o samorządzie, naruszającą prawa władzy kró-
lewskiej, — co spowodowało ostatecznie nowe przesilenie
ministerjalne. Król utworzenie nowego gabinetu poruczył
podobno Garaszaninowi.

Wyprawa włoska do Afryki stanowczo spełzła na ni-
czem. Korpus 20 tysięczny najlepszego wojska włoskiego,
jak odpłynął tak wraca do ojczyzny, nie nie zdziaławszy,
nie próbując nawet pomścić krwawej klęski pod Saati. Wło-
si skompromitowali się grubo; jakież bowiem znaczenie
może mieć w kombinacyach europejskich armia, która nie
ośmieliła się zaczepić hołoty abissyńskiej, chociaż naumyślnie
po to właśnie odbyła kosztowny spacer do Afryki!...

E. Jerzyka.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Najście. Od paru już tygodni obiega po Warszawie wieść
o dokonanej jakoby napadzie (!) na naszą redakcyę, o jakiejś
rzekomej „awanturze“ i t. p. Ponieważ, jak wiadomo, Warszawa
lubi plotki, a wieść owa, rozpuszczana i rozdymana, naturalnie
przez „serdecznych“ naszych, oraz przez... bohaterów jacy pierwsi
dali do niej powód — rośnie, uważamy przeto za słusze sprawa-
dzić ją do właściwych rozmiarów i przerwać tym sposobem dalsze
jej snucie. Pomijamy samą nielogiczność plotki o „napadzie“ czy
„awanturze“, gdyż każdy wie, że dla przeszkodzenia tego rodzaju
pokuszeniom, w biały dzień, w lokalu redakcyjnym, byłaby wy-
starczającą interwencya woźnego, stróża, roznosicieli, czy kogoś
w tym rodzaju. Niemniej przecież jest to — i to tylko — prawdą,
że pod naiwnym pozorem żądania okazania sobie w oryginalne
listów, o których była mowa w N-rze 14-tym „Rdli“, zgłosiło się
do nas dwóch ludzi młodych (jeden z nich był nawet w stanie
bardzo... wesółym), z intencyą widocznie wywołania jakiegoś
rozgłośnego skandalu, czy nawet gorszych skutków swojego na-
tręctwa. Ze młodzi ci ludzie byli najwidoczniej podmówieni, a może

i nasłani przez specjalnych przyjaciół naszego pisma, świadczy o tem najpierw sama ta okoliczność, że młodzieńcy, nie będąc wcale w kwestyi „listów“ osobiście zainteresowani, nie umieli objaśnić celu swojej wizyty. Obok zaś tego, całe zachowanie się ich było tak nieprzyzwoitem, tak pełnym arogancyi i prowokacyjnym, że nie tylko my, „zacofańcy“, ale i obecny przypadkowo najściu jeden z literatów obozu przeciwnego, nie był wcale zbudowany popisem młodocianych rycerzy... Ostatecznie jednak, widoczny ów zamiar wywołania skandalu — młodzieńcom się nie udało, bez używania nawet, z naszej strony, owej najwłaściwszej w razach podobnych interwencji, jakkolwiek wyszli oni zapewne z głębokim przeświadczeniem o wielkości swojego bohaterstwa! Wprawdzie wiemy dobrze, że „sprawy“ tego rodzaju, to jest sprawy o najściu cudzego domu z powziętym z góry zamiarem wywołania burdy, przewiduje wyraźnie kodeks karny; ze względu jednak, że są to ludzie młodzi, którym znamię „karanych sądownie“ nie pomogłoby zapewne do przyszej karyery, że zresztą kiedyś, gdy dojrzeją, bohaterstwa swojego sami wstydzic się będą; — poprzestajemy na niniejszej, ojcowskiej admonicyi, zwłaszcza, że i towarzysze starsi — młodych bohaterów postępków ich nie pochwalili, owszem, mamy pewne dane, że go potępili tak, jak na to zasługiwał.

Spółka chmielarska. Od delegacyi chmielarskiej warszawskiego Oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu otrzymujemy następujący komunikat:

„Na posiedzeniach delegacyi chmielarskiej, w dniach 14 tym i 16-tym Kwietnia, uchwalono jednogłośnie zawiązać w Warszawie akcyjne Towarzystwo chmielarskie, pod nazwą „Nadwiślańskie akcyjne Towarzystwo chmielarskie“.

Jak już zaznaczono w sprawozdaniach z posiedzeń delegacyi, spółka będzie przedewszystkiem stowarzyszeniem przemysłowo-handlowem.

Od chwili podniesienia cła od chmielu zagranicznego do wysokości rs. 10 w złocie od puda, nowopowstały przemysł chmielarski dostał się całkowicie w ręce cudzoziemców. Widzimy w Warszawie dwie duże sortownie chmielu, a wkrótce ma powstać trzeci zakład tego rodzaju. Na Wołyniu istnieje już kilka sortowni.

Ta jedna okoliczność, iż cudzoziemcy tak energicznie wzięli się do opanowania przemysłu chmielarskiego, świadczyć może o korzyściach, jakie przemysł ten przedstawia.

Nie byliśmy nigdy przedsiębiorczy, i zawsze pozwalaliśmy się cudzoziemcom wyprzedzać. Dziś jeszcze jest czas po temu, ażeby przeciwdziałać przewadze zagranicy. Inaczej, nie tylko że wszelkie zyski ztąd osiągnięto pójda do kieszeni obcych, lecz obokrajowe sortownie całym swym ciężarem zawisną bezpośrednio nad producentami chmielu. Biorąc miarę z roku zeszłego, właściciele sortowni obokrajowych przeciętnie nie płacili drożej za pud chmielu, jak rs. 12 — 15, gdy tónże chmiel, po dokonaniu z nim niezbędnych a taniach manipulacji, sprzedawali po rs. 25—38 pud.

Co gorzej, należy oczekiwać, że uczynią oni formalną zmwę na niekorzyść producentów i nie będą płacili po za przeciętną, przez nich samych ustanowioną, cenę chmielu.

Nadwiślańskie akcyjne Towarzystwo chmielarskie na pierwszym planie stawia rzetelne prowadzenie interesu. Płacąc jednak producentom słuszną cenę za chmiel, będzie ono w stanie ciągnąć jeszcze znaczne korzyści dla siebie, wobec czego przedstawia doskonałą lokację kapitałów w jego akcyach.

Kapitał zakładowy Towarzystwa został oznaczony na rs. 300,000, atoli przedsiębiorstwo już wówczas rozpocznie swoją działalność, gdy się zbierze rs. 100,000.

Po za tem, Towarzystwo ma na celu podniesienie opinii chmielu krajowego, celem przygotowania gruntu dla eksportu chmielu naszego zagranicę. Chmiel nasz, za czasów dawnych zwykle szedł zagranicę, najczęściej jednak ukrywano jego pochodzenie. Ze zaś produkt nasz może walczyć o lepsze z zagranicznym, świadczy i ta chociażby okoliczność, iż chmiel z Rohatyna w Galicyi hr. Ludwika Krasieńskiego, na wystawie powszechnej w Paryżu, w r. 1876, uzyskał pierwszą nagrodę.

Umiarkowany klimat naszego kraju wpływa dodatnio na rozwój chmielarstwa. Dzisiaj zwłaszcza, gdy zboże nie popłaca, nie pozostaje nam nic innego, jak jąc się uprawy roślin przemysłowych. Obecnie jesteśmy w stanie produkować chmiel o wiele taniej, niż zagranica, to też z czasem możemy rachować na znaczny obdyt tego produktu, zwłaszcza do Anglii.

Nie wątpimy, że wszyscy ci, którym dobrobyt kraju leży na sercu, pośpieszą wesprzeć pożyteczną działalność delegacyi chmielarskiej, a suma zapisów na akcyę Nadwiślańskiego akcyjnego Towarzystwa chmielarskiego wkrótce dosięgnie niezbędnej cyfry 100,000 rs.

Lista przyszłych akcyonaryuszów Towarzystwa została złożona na ręce p. Edmunda Diehla, sekretarza warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu (Krakowskie-Przedmieście 66), gdzie też odtąd przyjmują się zapisy w godzinach południowych.

W. J. Stankiewicz.

Z Rzymu. Dzienniki tutejsze podały w tych dniach następujący telegram Ag. Półn.: „Papież przyjmował wczoraj (w d. 22 Kwietnia r. b.) około 800 pielgrzymów polskich i rusińskich. W przemowie do nich, Ojciec Ś-ty wyraził życzenie, aby każdy obrządek kościelny pozostał nietkniętym w swoich tradycjach i formach obrzędowych“.

Ze spraw rolniczych. Do komisji utworzonej pod przewodnictwem p. Plewego, której celem jest zbadanie przyczyn upadku rolnictwa i podanie środków podniesienia produkcji rolniczej, zaproszony został w liczbie biegłych Dr. Tadeusz Kowalski.

Od p. B. Maciejewskiego otrzymujemy list tej treści: „Szanowny redaktorze! Z powodu artykułu o ostatniem posiedzeniu ogólnem w Towarzystwie Wzajemnego Kredytu, pomieszczonego w N-rze 16 „Roli“, upraszam o zamieszczenie, w formie, jaka za najwłaściwszą uznana zostanie, następującej wiadomości: Tak zwana u nas opozycya, a właściwie krytyka w sprawach ekonomicznych i finansowych ujawniła się już blisko od lat dwudziestu. Od roku 1870 widzimy ją w sprawach stowarzyszenia spożywczego „Merkury“. Stale zaś i corocznie od tegoż czasu broni ona interesów obywateli w Towarzystwie Kred. m. Warszawy, jak również interesów uczestników w Tow. Wzajemnego Kredytu, a wreszcie od roku 1873 — akcyonaryuszów drogi żel. Warsz.-Wied. i Bydgoskiej.

Racz Sz. Redaktorze przyjąć etc.

Bolesław Maciejewski.

Konkurencya. Nie zawsze w naszych stosunkach przemysłowych dzieje się dobrze — zwłaszcza gdy wchodzą w grę interesa konkurencyjne. Oto przykład. Człowiek młody, pan Ludwik Jedliński, pilnikarz, po odbyciu praktyki u jednego z majstrów warszawskich, udał się za granicę dla lepszego udoskonalenia się w swym fachu, a powróciwszy ztamtąd, otworzył zakład pilnikarski na własną rękę. Otóż ów dawny pryncypał pana J., człowiek zamożny, zamiast pomódz byłemu swemu uczniowi i człowiekowi na dorobku, nie zaniedbuje niczego w celu zaszkodzenia młodemu i zdolnemu współzawodnikowi. Czy to tak być powinno i czy taki przykład majstrowie starsi, ludzie poważni, powinni dawać swym następcom młodszym?..

Z teatru i muzyki. W teatrze Wielkim, na przedstawieniu benefisowem p. Marcella, grano po raz pierwszy dramat. Echegara p. t. „Galeotto“.

W teatrze Rezmaitości zostaje wznowioną komedia Korzeniowskiego: „Doktor medycyny“. Rolę główną odtworzy Żółtkowski.

W salach Redutowych danym był w ubiegły Wtorek koncert Instytutu muzycznego, pod dyrekcją utalentowanego skrzypka, p. Barcewicza.

Panna Ella Russel przybyła do Warszawy na nowy szereg występów.

Zmarli: Ś. p. ks. Adam Wyrzykowski, były proboszcz parafii Św. Barbary w Warszawie, na Koszykach, którego staraniom zawdzięczać należy zebranie pierwszego funduszu na restaurację kaplicy, gorliwy kapłan i szlachetny człowiek — zm. w Wilnie.

Ś. p. Julia z ksiąząt Druckich-Lubeckich hr. Pusłowska, wdowa po hr. Ksawerym Pusłowskim, niegdyś prezesie warszawskiego Towarzystwa dobroczynności, matrona znana w szerokich kołach ogółu naszego z czynów miłosierdzia — zm. w Paryżu.

SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

26 Kwietnia 1887 r.

Usposobienie rynku zbożowego w New-Yorku znowu się wzmościło, a fakt ten oddziałł dość wyraźnie i na rynki europejskie. Z Niemiec, Anglii, Francyi, Holandyi i t. d., nadchodzą wiadomości o ożywieniu się transakcyj zbożowych. W Gdańsku i Toruniu płacono również ceny wyższe, w porównaniu z zeszłotygodniowemi, a to samo powieścić można i o targach warszawskich.

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 7.00—7.15, średnią 6.60—6.80, ordynaryjną 6.10—6.20. Żyto wyborowe 3.90—4.00, gorsze bez obrotów. Owies dobry 2.30—2.40, gorszy 2.10—2.20.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 112—116, średnią 104—108, ordynaryjną 99—101 kop. za pud. Żyto wyborowe 64—66, średnie 60—62, ordynaryjne 58—60. Owies wyborowy 71—75, średni 68—70, ordynaryjny 62—65 kop. za pud.

W handlu okowitą usposobienie ciągle jeszcze słabe i niepewne, a ceny, tak w Hamburgu jakoteż na rynku warszawskim, — niezmiennione.

Usposobienie rynków cukrowych, również się nie polepszyło; płać rafinadę do rs. 3, mączkę 2.70—2.75 za kamień 24 funtowy.

Dostawa bydła stepowego na targ prazki, była zwyczajną; ceny niezmiennione.

Na rynkach żywnościowych nabił nieco stania, jaja również są tańsze; ceny innych artykułów pozostały bez zmiany.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. A. l. Sz. w Łomży. — Roboty introligatorskie, jakie dostarczyć może Administracja pisma naszego i Czytelnie, wykonywa zakład p. Antoniego Gródkowskiego, chrześcianina, Solna Nr. 4, Ci więc, którzy aż po Łomżę roznoszą wieść, jakobyśmy roboty te „powierzali żydom“ (!), mogą rzecz sprawdzić na miejscu i zawstydić się kłamstwa, jeżeli w ogóle do wstydu są zdolni. Z nadesłanego poprzednio materiału, za który dziękujemy uprzejmie, skorzystamy wkrótce.

Panu B. Kopezyńskiemu, właścicielowi drukarni w Warszawie. — Podzielamy w zupełności słusność pańskiego zażalenia. Jeżeli bowiem p. Lewicki, wydawca „Pszczółki“, nie płacił akuracie za papier tak, że mu go „aresztowano w chwili wysłania do satynowania“, jeżeli nadto nie odznaczał się akuracnością w uiszczaniu należności za druk swego pisma, to naturalnie i pismo to nie mogło wychodzić regularnie. Jeżeli zaś obecnie tenże p. Lewicki, tłumacząc się przed swoimi prenumeratorem, winę tej nieakuracności składa na drukarstwo i przynosi jej tym sposobem szkodę, to popełnia on prostą nieuczciwość, za którą może go pan śmiało pociągnąć do odpowiedzialności sądowej. W rzadach podobnych droga to, podług nas, najwłaściwsza.

P. Kołakowski w Korytnicy. — Po zebraniu wiadomości pewnych, odpowiemy listownie.

P. Jul. Smorczewski p. Drohiczyn w Obniżu. — Numera jakie sz. pan posiada, nie są nam potrzebne; te zaś, jakich sz. pan żąda, mogą Mu być przesłane. Za wszystkie wraz z przesyłką, przypadnie nam rs. 1.

Rzemieślnikowi. — Zupełna słusność. O tanich sklepach krawieckich, czyli właściwie o ich zakładaniu przez krawców polskich pomówimy wkrótce.

Semiecie (staremu). — Podziwiamy pańską pracowitość nieprodukcyjną. Wątpimy bowiem aby krytyka pańska wiadomej pracy mogła jej autora przekonać. W każdym razie, życzeniu pańskiemu stanie się zadość. Ale... ale... W zamian za taką obfitość uwag krytycznych, jakimi nas pan obdarzasz i w nagrodę za naszą cierpliwość przy ich odczytywaniu, pozwól pan przestać sobie jedno tylko pytanie: Dlaczego to panowie, ilekroć chcecie na przeciwnikach wyrzucić swoją złość, lub też ich zelżyć — usiłujecie gwałtem zrobić ich żydami, lub przynajmniej pochodzenie ich wyprowadzać od żydów. Powtarza się to stale, wszędzie i zawsze, odkąd istnieje antysemityzm, a istnieje on, jak wiadomo, od wieków. Mielibyście więc panowie uważać sami siebie za element najgorszy, najszkodliwszy w całym rodzie ludzkim i przynajmniej tym sposobem „antisemitom“, a absolutną rację? Chej nam pan, jako człowiek, jak powiadasz, „stary“, doświadczony, odczytany widocznie i znający zapewne doskonale wszystkie właściwości swego plemienia, — objaśnić tę zagadkę.

OGŁOSZENIA.

Główny Skład Dywanów

GIEŁZYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych

52-17

i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielañska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Poszukuję

(3—2)

Majątku Ziemskiego

z lasem, blisko Warszawy na zamianę domu w Warszawie w szacunku od 15,000 do 200,000. Wiadomość Zielna Nr. 9, m. Nr. 2.

POSZUKUJĘ CHMIELU

(3—2)

Zielna Nr. 9, mieszkania Nr. 2.

JEDYNA

(3—2)

tylko w kraju specyjalna fabryka narzędzi pszczelarskich, przyjmuje wszelkie zamówienia i wykonywa takowe z akuracnością. W. Kowalski. Piękna 64.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwzrostniejszych do najkonieczniejszych potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług największych żurnali

(13-4)

FABRYKA i MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY KONNEJ JAZDY I POLOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaże

Plaszcze gumowe — Buty filcowe

Kurtki — Plaszcze i Spodnie skórzane

Torby myśliwskie — Futerały na broń

Portmonetki — Pugilaresy — Porteigary — Woreczki i t. p.

Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

Magle pokojowe najnowszego systemu; można nabyć takowe i zarazem na miejscu wypróbować ich praktyczność, — jak również Maszynki nowe do kapslowania butelek bardzo łatwym sposobem. — Tanie, najnowszego systemu i najpraktyczniejsze Maszynki do masła różnych wielkości. — Najnowsze maszynki do siekania mięsa i wyżyłowania. — Taboreczki i Stoliki składane i t. p. różne wyroby, stosowne i praktyczne do gospodarstwa i użytku domowego.

Posiada na składzie.

Warszawska Fabryka Lodowni Pokojowych

pod zarządem:

J. KUCHTY

Piękna Nr. 30.

(12—10)

Cenniki wysyłają się na żądanie gratis.

Fabryka wyrobów Platerowanych i Bronzowych

egzystująca od roku 1856

BRACI HENNEBERG

poleca wielki wybór tak przedmiotów PLATEROWANYCH, jak i BRONZOWYCH, złożonych i ciemnych. — Zaznaczyć przytem winniśmy, iż wobec zagranicznych bronzów, nasze wszelką konkurencyę wytrzymują, są bowiem o wiele solidniejszej wykończoności, a ceny stosunkowo niższe. — Upraszając o łaskawe zwrócenie na to uwagi, polecamy

Magazyny: Plac Teatralny Nr. 11.

(26—22)

Róg Trębackiej i Krakowskiego-Przedmieścia

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.

Cenniki na żądanie wysyłają się franco.

ODNAWIANIE OBRAZÓW

kościelnych, galeryowych i portretów rodzinnych

pod kierunkiem

T. MALESZEWSKIEGO

przyjmuje się w jego pracowni
ul. Warecka Nr. 3

W razie większego zakresu pracy na prowincyi, miastowicie w kościołach, wysłany będzie kompetentny współpracownik. (8—2)

Krawiec

(52—11)

M. CHMURCZYŃSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.

na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszywki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowywa, jak najakuracniej, po cenach bardzo niskich.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka

(52-16)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Specyjalna Fabryka i Magazyn Bielizny Męskiej

A. KIERST i S-ki

5. Bielańska 5. (vis-a-vis Danilowiczowskiej),

poleca w wielkim wyborze:

Koszule męskie wykonywane podług najświeższych fasonów, od rs. 1.50—Kołnierzyki i Mankiety—wielki wybór Krawatów, Spinek i Szpilek najmodniejszych—Kalesony, Skarpetki jedwabne, fildecose i bawełniane bez szwu—Kaftaniki trykotowe wszelkich rodzajów—Chustki do nosa—Cachenez na szyję, jedwabne—Szelki, Laski etc.

Wszelkie zamówienia wykonywają się starannie i spiesznie, po cenach najniższych.

(26—25)

J. SZTENGEL

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.



Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.

Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

.6-4

CIECHOCINEK,

Wody Mineralne Jodowo-bromowo-słone,

położone w Królestwie Polskim gub. Warszawskiej,
otwarte zostaną dnia 20 (8) Maja r. b.

Wody te znane z najpomyślniejszych skutków w chorobach skrofulicznych, syfistycznych, reumatycznych, kataralnych, skórnych i nerwowych, w chorobach kobiet, zapaleniach stawów zastarzałych, obrzmleniach i uszkodzeniach kości.

W miejscu znajdują się hotele i wiele świeżo pobudowanych z komfortem urządzonych domów, restauracje, cukiernie, czytelnia i gimnastyka. Teatr, koncerty i bale, a także orkiestra zakładowa uprzyjemniają gościom pobyt u wód. Spacer pod tężniami nie tylko jest przyjemną rozrywką, ale i wpływ leczniczy wywiera na osoby oddychające powietrzem tężniowym, zbliżonym do morskiego.

Kąpiele solankowe, błotne, tuszowe i parowe z natryskami zimnymi i ciepłymi, odpowiednio są urządzone. Apteka miejscowa dostarcza potrzebnych lekarstw, a oddzielne składy, wszelkich wód mineralnych, naturalnych i sztucznych. Oprócz lekarzy zdrojowych, corocznie przybywa wielu wolno praktykujących i tym sposobem pomoc lekarska dostatecznie jest zapewniona.

Koleją Warszawsko-Bydgoską dojeżdża się do samego źródła.

(5—2)

Stosowane przezemnie od kilkunastu lat sposoby osuszania mieszkań i niszczenie grzyba drzewnego zyskały tyle uznania, że zmuszony byłem działalność swoją rozszerzyć przez przybranie odpowiednich sił technicznych, które odtąd zaczynają funkcjonować pod firmą:

„GUDRONIT“

A. Ciszewski Budowniczy i Spółka,
w Warszawie, Hotel Angielski.

Broszura „O wilgoci i grzybie drzewnym“ na żądanie wysyła się bezpłatnie i franko.
Agentów na Cesarstwo i Królestwo poszukuje się.

(3—2)

Dep. Przem. i Hadn., St.-Petersb., N. 1360.
Wiedeń Nr. 4932—Budapeszt Nr. 1528.

Broszurka
bezpłatnie



Gwarancya
15-letnia

„EXSICCATOR“

Osusza wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od GNICIA i Grzybka. Dezynfektuje. Zastępuje OLEJNĄ FARBĘ.

52-16

Inżynier Ritter, Królewska 39.

Dentysta Głogowski,

b. asystent D-ra Kobylńskiego,
Chmielna 35.

od 10 do 6. Sztuczne zęby, plombowanie.

(4—2)

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA, (52-20)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

ORGANY

11-o głosowe z pedałem najnowszego systemu do sprzedania w fabryce

L. Blomberg i Syn

Warszawa, — Leszno 65.

(3—2)

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmłodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich. p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—32

TANI POLSKI Magazyn Bławatny W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64.

Resursa Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publiczności wielki wybór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

Pół wełny od 13 kop. do 35.

Materyały czysto wełniane podwójnej szerokości, po kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

Materyały czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70 do rs. 1.50.

Kaszmiry czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

Korty na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć. Velvety czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na składzie po cenach niskich.

Korty na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

Płótno Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za pół sztuki.

Bielizna stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Magazyn posiada wielki wybór Perkali białych, Półpłótna, Madapolamów, Drelichów kolorowych, Firanek, Kołder pikowych białych i kolorowych i kołder wełnianych.

12—6

N A S I O N A (6—6)

świeżo sprowadzone, polecają

ESTREICH I PODBIELSKI

Warszawa, Młodoła Nr. 19.

SKŁAD MEBLI 13-8

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwintnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.



SKŁAD WIN (24—8)

J. Lijewskiego i S-ki

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwietny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzam piwnice w czyste i wystłe wina Węgierskie, odpowiednio do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuzkie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

FABRYKA I MAGAZYN WYROBÓW JUBILERSKICH W. MOCZYDŁOWSKIEGO

przy ulicy Nowo-Senatorskiej pod Nr. 3, obok Hotelu
Rzymskiego, (12—1)

poleca :

znaczny wybór gotowej biżuterii z własnej fabryki, co daje łatwość do zmiany starej biżuterii na nową, a jako z pierwszej ręki znacznie taniej. Obstalunki i reperacje po cenach niskich, najakuratniej się wykończają.

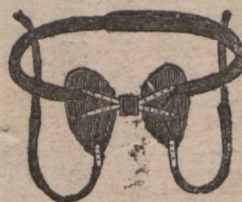
S ł ó w k o ! 3—1

GRZYBKIE KEFIROWE (Dispoza Caucasia) świeże i zdrowe przywiozłam osobiście z Kaukazu.

Blizsza wiadomość w głównym moim Zakładzie Kefiru Leczniczego w Warszawie, ul. Królewska Nr. 31 nowy (25 dawny), wprost parkanu Ogrodu Saskiego.
Klaudia Sigalina.

NB. Grzybki przy fabrykacji Kefiru nie niszczą się; służą raz na zawsze. Poreya na 4 szklanki do Rs. 5, na dwie szklanki do Rs. 2 kop. 50.

Jedyna specjalna Fabryka Ozdób Kościelnych
Karola Szonert (52-18)
w Warszawie, — Leszno Nr. 62.



FABRYKA I SKŁAD
Narzędzi Chirurgicznych i ostrych,
stalowych, oraz Bandaży,

F. Balukiewicza

W WARSZAWIE
Bieleńska Nr. 9, Hotel Paryżki.

26—24

Treść numeru : Z etyki dziennikarskiej. — Szloma z Rozdołów, przez Wincentego hr. Łosia. — Listy z Galicji. — Francja zdydziała (d. c.) — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Sprawozdanie handlowe. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.)

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою. — Warszawa 14 Апреля 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Swiat N-r. 61)